№ 50.

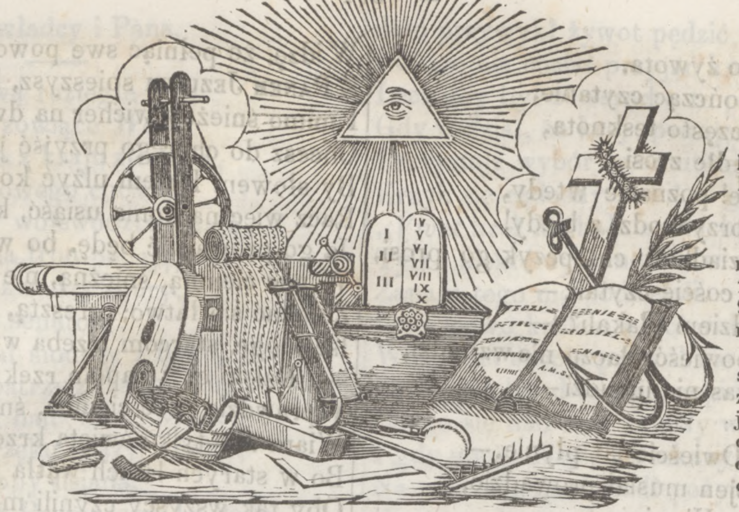
Warszawa

Dnia 2 (14) Grudnia

1856.

Niedziela

3cia ADWENTU.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80 półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wysłuchaj, Panie! błagamy Cię, prośby nasze, a ciemność rozumu naszego, racz nawiedzeniem Twéj łaski oświecić. (Modlitwa kościelna na niedzielę 3cią Adwentu).

Król Michał.

Michał Korybut książę Wiśniowiecki był synem Jeremiasza wojewody ruskiego, który się wsławił rycerskiemi czynami w kilku wojnach, ale utracił wśród tych klęsk znaczne swe majętności na Ukrainie. Syn jego, żyjąc w ubóstwie, został niespodzianie obrany królem, w 30 roku życia swegó, po Janie Kazimierzu synu Zygmunta IIIgo, gdy tenże znękany ciągłemi wojnami i nieszczęściami kraju, złożył koronę roku 1668.

Król Michał panował tylko lat 4 z górą; umarł, wybierając się na wojnę, roku 1673, we Lwowie, w tym samym czasie, gdy Jan Sobieski, Hetman jeszcze naówczas, otrzymał nad Turkami z małą garstką wojska, świetne zwycięztwo pod Kamieńcem.

Wyraz *piast*, w poniższym wierszu użyty, pochodzi od nazwiska monarchy polskiego, przodka panującéj potém 500 lat blisko *familii Piastów*, lecz później, gdy i ród *Jagiellonów* wygasł w mezkiéj linii, a nastali *królowie obieralni*, zwano piastem każdego króla, ziomka swojego.

Wiersz o królu Michale jest osnuty na piśmiennem podaniu, mieszczącem w sobie proroctwo pewnego kapłana, o nastąpić mającem królowaniu księcia Michała, wyrzeczone przy niżéj opisaném zdarzeniu.

„Coście tam, dziadku,“ spytał chłopczyna,
Wtéj wielkiéj księdze znów wyczytali?
Że jak dumacie, mija godzina;
A my tu figlów dużo spłatali,
By zwiać wam chmurę, co czoło mroczy,
By łzę wam wstrzymać, co z lic się toczy?.
—„O! moje dziatki! motylki złote!
Wyście zamłode, aby tęsknotę
Starca odgadnąć, co w mrocznéj dobie
Nic już nie widzi nad pokój w grobie...
Czytam ja, czytam, by z dziejów świata
Zaczerpnąć życia na dalsze lata,
By echem wspomnień duszę rozbudzić
I choć na chwilę szczęściem się złudzić...
Lecz wy się strojąc, w leciuchnéj szacie,
Ciężkich starości zadum nie znacie.
Później, gdy każde z was kiedyś stanie

Bliżéj mogiły swego żywota,
Poznacie, czemu, kończąc czytanie,
Starcem owładnie często tęsknota,
I łza mu lica powiędłe zrosi...
Tak, dziatki drogie! poznacie wtedy,
Że płacz nietylko przychodzi z biedy!
—„A więc, mój dziadku!“ chłopczyk go prosi,
I nam powiedzcie, coście czytali,—
Może też i my będziem płakali?“—
—„Nie! wam ta powieść płaczu nie wzbudzi,
Dość, jeśli tylko was nie utrudzi—
A więc słuchajcie:
Dwieście lat płynie,—
Kraj nasz pięć wojen musiał prowadzić,
Ale największą na Ukrainie.
Trudnoć to było temu poradzić;
Jednakże jakoś kraj wyszedł cało,
Tylko narodu stracił niemało;
Bo mór dwukrotny, głód i pożogi
Cios mu wśrod wojen zadały srogi,
Bo gromiąc wrogów liczne zagony,
Utracił ludu trzy miliony.
Więc, gdy kraj zewsząd tak był szarpany,
Ponieśli klęski i możne pany.
Śród nich pan wielki na Ukrainie,
Kniaź Wiśniowiecki, co w dziejach słynie,—
Pierwsza podpora króla przy tronie,
Stracił swe mienie w kraju obronie;
A gdy odumarł syna Michała,
Jedna w puściznie chwała została.
Lecz młody książę, choć mienie stracił,
W cnoty się przodków swoich bogacił,
I żyjąc śród nich w ubóstwie, z młodu
Wzrastał już w chwale swojego rodu.—
Raz, młody książę Michał, wieczorem
Powracał konno do domu, borem.
Byłato zima, śnieżne zawały
Co chwila konia bieg tamowały,
Pośród zamieci nie widać świata;
Wtém dźwięk go czysty dzwonka dolata,
I coraz bliżéj — i coraz głośniéj—
I coraz dźwięczniéj — coraz donośniéj
Odgłos się srebrny dzwonka rozlega...
Księżyc zabłysnął,— książę spostrzega
Starca kapłana, któremu biała
Stuła ku ziemi z ramion spływała;
W ręku świętości, krzyż i patyna,
A przed nim dzwoni zziębły chłopczyna.
Książę zsiadł z konia, i nachylony
„Niech będzie Chrystus, rzekł, pochwalony.
W idzę, że pełniąc swe powołanie,
Z Panem Jezusem spieszysz, kapłanie!
I mimo śnieżny wicher na dworze,
Chcesz do chorego przyjść jeszcze w porze,
By słowem Bożem ulżyć konanie.
Racz więc na konia usiąść, kapłanie!
Ja go prowadzić będę, bo w boru
W noc ciemną, śnieżną, nie widać toru,
Zbłąkać się łatwo; zresztą, ja młody,
Iść mogę, starcom trzeba wygody.“
—„Dzięki ci,“ kapłan rzekł do młodziana.
Wprawdzie noc ciemna, śnieg po kolana;
Wiara mię tylko święta krzepiła,
Bo w starych latach wątła już siła...
Oby tak wszyscy czynili młodzi!
Lecz twą uczynność Pan Bóg nagrodzi:
Zaprawdę, wielka radość jest w Niebie,
Jeśli kto starca wesprze w potrzebie.“
W ięc milcząc, dążą społem, a z góry
Księżyc twarz jasną wychylił z chmury,
I trzech podróżnych mile oświeca,
I błogą jasność po drodze wznieca,
Kapłan na koniu duma schylony,
Wiatr cichy włos mu pieści zbielony;
Książę ku ziemi głowę nakłania,
Chłopczyk na czele w komży podzwania.
Gdy skrajem lasu mgła dąbrowa,
Kapłan się ocknął z dumy, i słowa
W proroczéj myśli rzekł młodzianowi:
„Synu! racz ucha skłonić starcowi,
Jakieś przeczucie mówi mi skrycie,
Że pośród chwały skończysz twe życie.
Oby Ten, co Mu świat cały służy,
Spełnił to, co dziś serce me wróży.“
Rozważał książę ubiegłe lata,
A wtem przed nimi czerni się chata,
Gdzie leżał wieśniak śmiertelnie chory.
Za odsunięciem u drzwi zapory,
Wchodzą— z schylonem u łoża czołem,
Z kapłanem książę modlił się społem,
A gdy się z Bogiem pogodził chory,
Wracał znów książę z księdzem przez bory.

„W lat kilka potem osierocony
Tron Polski został po Kazimierzu,
Który śród wojen, ciężar korony
Dźwigając, gdy kraj widział w przymierzu
Z sąsiady, śród łez wyrzekł się tronu
I żył w zakonnéj celi do zgonu.
Kraina cała była stroskana,

Bo naród nie miał władcy i Pana.

Gdzie pod Warszawą rozległe pola
Zdawien się dawna zowiące *Wola*,
Szlachta się tłumnie z kraju zjechała,
Gdyż króla obrać nowego chciała.
Już pod chorągwie województw stają,
Już różni różnych na tron podają,
I radząc długo tak zwodzą spory,
Panowie, szlachta i senatory.
A książę Michał stał smutny z boku,
Na bratnie zwady patrzy z łzą w oku,
I nie dostrzega, jak nad nim wkoło,
Rój pszczół śród brzęku krąży wesoło,
Potem na dachu szopy usiada,
Gdzie była panów z Prymasem (1) rada.
Szlachta ztąd różne wróżby wywodzi,
Jakaś otucha w sercach się rodzi.
Aż tu wykrzyknie ktoś, co miał siły:
„Patrzcie na szopę, tam owad miły,
Bo swojski, daje znak dla nas drogi:
Że kto ma swoje domowe bogi,
Grzeszy, gdy obcych szuka śród świata.
I myśl ta iskrą obszar przelata,
Więc głoszą: „królem miejmy rodaka,
Bo widać wola niebios jest taka!“
Zapał się szerzy, a okrzyk wzrasta,
„Chcemy mieć *Piasta!* chcemy mieć *Piasta!*“
I niespodzianie dążą w ustronie,
Gdzie książę Michał w zadumie tonie.
„Wojewodzicu!“ krzyknęli społem:
Od dziś przed tobą bijemy czołem,
Tyś jest latarośl Jagiełłów rodu,
Ty w cnotach przodków rosłeś od młodu,
Tyś godzien, by twe książęce skronie
Błysły w królewskiéj złotéj koronie!
Więc przyjmij berło, synu rycerza!
Króluj, nie zdejmuj hełmu, pancerza,
Bowiem dzicz krymska (2) grozi szponami,
I ostrzy dzioby tam za stepami;
Więc ty je pogrom, spędź na pustynie!“
Książę zapłakał, padł na kolana:
„Niechaj mnie, rzekł, ten kielich ominie,
Bracia! ja wam się nie zdam na pana.“
I długo oczy łzami zroszone,
Miał śród modlitwy w niebo zwrócone,
Powstając, dodał: „ja namaszczenia
Nie mam na króla, nie mam ramienia
Tyle silnego, by żyć wśród boju,
Jam przywykł żywot pędzić w spokoju.“
I długo nie chciał przyjąć korony,
Lecz gdy był zewsząd o to proszony,
Gdy widział, że kraj pokojem darzy,
Przyjmuje wybór ze smutkiem w twarzy.
Krzyk się radosny wzbił w górne strony:
„*Vivat* król Michał! z szlachty zrodzony!“
Tylko niektórzy panowie w dali
Zapału tego nie podzielali.
Lecz ledwo królem go obwołano,
Więcéj na szopie pszczół nie widziano.
Za to gołębie dwa śnieżnopióre
Chyżo się nad nim uniosły w górę,
I gdy ubogi książę stroskany
Na polu w pojazd siadł pożyczany,
Wciąż nad pojazdem w górze krążyły,
I aż w stolicy go opuściły.

(1) Prymas był to duchowny, najwyższy książę kościoła.
(2) Tatarzy.

Święty Wincenty à Paulo i niewolnik na galerach.

Czytaliście niedawno o życiu św. Wincentego à Paulo, teraz wam opowiem jedno wydarzenie, pięknie malujące cnotliwego i świętego męża.

Chociaż Śty Wincenty nie piastował żadnego publicznego urzędu, choć nie posiadał majątku, jednak ojczyzna jego zawdzięcza mu wiele dobroczynnych zakładów. Nie czekał on nigdy, aż przypadek nastręczy mu nieszczęśliwego, ale jeździł po wszystkich okolicach, wynajdując potrzebujących jego rad i pomocy. Najchętniéj czynił to w skrytości, nie licząc na wdzięczność ludzką i sławę doczesną.

Pewnego razu w czasie swéj podróży przybył do Marsylii (we Francyi) i za najpierwszy obowiązek poczytał odwiedzić nieszczęśliwych więźniów na *galerach* czyli statkach, do których przykuci łańcuchami, ciężko muszą pracować. W tem właśnie miejscu otworzyło się szerokie pole dla jego serca. Przykry był to los nieszczęśliwych przestępców, którzy na galery osądzeni byli; napiętnowano ich rozpalonem żelazem, ręce i nogi okuto, i za liche wynagrodzenie, przy srogiem obejściu się nadzorców, zmuszeni byli wykonywać najcięższe prace. Sty Wincenty pomiędzy tymi występnymi spostrzegł młodego człowieka, którego łagodna i rzewna twarz obudzała współczucie; stał on zatopiony w sobie, a twarz jego zalewała się łzami.

Sty Wincenty zbliżył się do niego, i następująca zawiązała się rozmowa.

Śty Wincenty. Mój przyjacielu! dlaczego płaczesz? czyli potrzebujesz czego? niewiele mogę ci ofiarować, ale przyjm i to odemnie.

Więzień. Ach! mój Panie! ja nie żądam pieniędzy, tego mi nie brakuje, ażebym moje opłakane utrzymał życie, lecz inny smutek cięży mi na sercu—do łez i rozpaczy pobudza.

Śty Wincenty. Czyby nie było w méj możności pocieszyć cię i ulżyć ci w nędzy?

Więzień. O! mój panie, wiele możesz mi pomódz, ale współczuciem tylko w mym okropnym losie. Ty pierwszy jesteś, którego zasmucają moje cierpienia. Niech ci Bóg za to wynagrodzi.

Śty Wincenty. Mój bracie, może ja znajdę sposób, osłodzić twe cierpienia?

Więzień. Litość, jaką dla mnie okazujesz, wzbudza we mnie ufność ku tobie; posłuchaj więc, tobie jednemu wszystko wyznam. Jestem synem dzierżawcy, człowieka poczciwego, który mi dał wychowanie pełne nauki i pięknych zasad. Lecz niegodziwi koledzy mało dbający o szlachetne postępowanie, sprowadzili mnie na drogę pełną smutku i goryczy. Pewnego razu szliśmy na polowanie do dóbr sąsiednich; gdy ludzie tamtejsi wzbraniali nam téj rozrywki, my do tego stopnia źle obeszliśmy się z nimi, iż jeden omało życiem nie przypłacił. Sprawa ta poszła najprzód do miejscowéj władzy, późniéj do sądu i tam skazano mnie na lat sześć do ciężkiéj pracy na galerach. Już cztery lata cierpię tę srogą karę; stałem się przyczyną nieszczęścia mojéj familii. Biedny mój ojciec umarł z rozpaczy, gdy się dowiedział o mym losie, a mały nasz majątek poszedł cały na procesa. I tak mój los bardzo mnie dręczy— tem bardziéj, że żona moja z trojgiem dzieci bez méj pomocy z nędzy pomrzeć mogą. O! jakżeżbym pracował, gdybym był przy nich. Teraz oni z głodu umrzeć muszą. (Więzień od płaczu nie mógł już daléj mówić).

Śty Wincenty. Wprawdzie jesteś bardzo nieszczęśliwym; już późno, już nie czas usprawiedliwiać swego przewinienia—jestem pewny, że tego z serca żałujesz. Mówmy lepiéj o teraźniejszym twym losie, który mię ujął za serce. Nie powiedziałeś mi, czy całe dwa lata musisz cierpieć tę karę!

Więzień. Tak mój panie, jeszcze dwa lata, ale mnie się zdaje, że jeszcze dwa wieki. Ach! ja nie dożyję do końca tych męk. Moja biedna żono! moje nieszczęśliwe dzieci! co się stanie z wami.

Śty Wincenty. Powiedz mi też, gdyby ktoś poświęcił się i zajął twoje miejsce, gdyby pozwolił okuć się w te łańcuchy, czyby cię udarowano wolnością?

Więzień. Natychmiast, mój panie! Ale czy znajdzie się na całéj ziemi taka istota, któraby bez przyczyny poświęcała się na taką nędzę i obelgi? Wszystkie skarby tego świata......

Wincenty a Paulo nie słuchał dłużéj winowajcy, lecz przybliżył się do oficera, któremu powierzono dozór nad okrętem.

„Mój panie! rzekł mąż święty, puść tego człowieka na wolność, zdejm z niego te kajdany, a włóż je na mnie. Oto masz moje ręce i nogi, chętnie będę znosił wszystkie cierpienia zatego człowieka przez dwa lata, w ciągu których on miał cierpieć.“

Oficer zdziwił się, odmawiał z początku. „Ja wiem o wszystkiem, kochany panie, rzekł święty Wincenty, wprawdzie poniosę hańbę i pogardę w oczach całego świata, lecz Ten, który w niebie, wynagrodzi mi za to. Moje postanowienie jest stałe. Ten młody człowiek jest niezbędnym swéj żonie i dzieciom—dla mnie zaś dwa lata prędko przeminą“.

Oficer chętnie przychylił się do prośby. Natychmiast skrępowano okrutnemi więzy świętego męża, i udarowano wolnością młodego człowieka. Nie posiadał się on z radości, padł do nóg swemu dobroczyńcy, całując je i oblewając łzami wdzięczności.

„Nie, mój panie! powiedział więzień, za wielkie jest moje żądanie, żebym ja powrócił do swéj rodziny, żadnym sposobem to być nie może.“

„Idź mój przyjacielu, rzekł święty Wincenty, ja będę szczęśliwszy od ciebie; zapewniam cię, że te łańcuchy wydadzą się lżejszemi. Radzę ci, spiesz do swéj żony, do swych dzieci, i bądź im podporą.

Ten święty przyjaciel ludzkości, cały czas zakreślony pozostał na okręcie, ukrywał się, ile mógł przed okiem przychodzących go oglądać. Dzień cały poświęcał na mozolne prace. Dla więźniów był żywym wzorem litości, współczucia i miłości bliźniego; wielu z nich przyprowadzeni do żalu za popełnione błędy, powrócili na drogę cnoty i moralności.

———

Rady starego Kijonki.

—

W pewnym domu na Starem Mieście, gdzie sprzedają wyborne piwo, wieczorem w sobotę zebrało się kilku majstrów różnego rzemiosła, i obsiadłszy gromadką jeden stolik, utyskiwali jak to zwykle, na ciężkie teraźniejsze czasy.— Wtem pan Szydełko, majster szewcki, odezwał się do poważnego i porządnie ubranego starca, którego głowa siwizną była okryta: „A wy, panie Kijonka! co też myślicie o naszych czasach? — czy nie trzymacie także z nami, że obok naszych powinności, wzmagająca się coraz drożyzna całkiem nas wreszcie przygniecie tak, że i powstać nie będzie można? — cóżbyście też radzili w téj mierze?“

Kijonka pomyślawszy nieco, odpowiedział: „Moi panowie! jeśli chcecie wiedzieć mój sposób myślenia, odkryję wam go pokrótce, bo jak mawiał stary mój ojciec: „liczbą słów próżnego woru nie napcha.“— Wszyscy poruszyli stołków i bardziéj ścieśnili kółko, a stary Kijonka widząc, że ciekawi i bacznie słuchają, tak mówić zaczął: —„To pewna, moi dobrzy sąsiedzi! że powinności nasze bardzo są znaczne, atoli gdybyśmy je samemu tylko skarbowi opłacali, moglibyśmy jeszcze jako tako wyjść na swoje. Ale małoż ich to mamy, co są uciążliwsze nierównie? Oto np. próżniactwo nasze bierze nam dwa razy tyle; zbytek i duma więcéj niźli razy trzy; pobory zaś te takiego są rodzaju, że nie można się od nich wykupić. Gdyby kto wymagał od nas dziesiątéj części całego naszego czasu, o! jakby to przykro się nam zdawało! — Lenistwo jednak nasze nierównie więcéj od nas wymaga, i policzcie tylko czas, który na niczem trawicie, to przekonacie się, że was nie zwodzę. Próżniactwo pociąga za sobą nudy, przykrości, choroby nawet, a tém samém życia umniejsza— podobne ono do rdzy, i więcéj jak praca wycieńcza. —Klucz, którym się często otwiera, nie rdzewieje; — jeśli więc macie upodobanie w życiu, nie marnujcie czasu, bo życie z niego się składa. Ileż to np. czasu łożymy na sen — więcéj niż potrzeba tego wyciąga— kot śpiący myszy nie złowi, a pamiętajmy, że dość się jeszcze należymy, kiedy nas w trumnie położą. Tak więc panowie bracia, róbmy, póki jeszcze możemy;— dołożywszy pilności, z mniejszym trudem więcéj zrobimy. Leniwemu wszystko zdaje się trudnem, kiedy przeciwnie, przemysł wszystko łatwém znajduje. Kto późno wstaje, ledwie co zacznie, już go i noc zaskoczy; wierzajcie mi, że lenistwo tak powoli chodzi, iż nędza prawie zawsze go doścignie— kłaść się wczas, a rano wstawać, jest najlepszy sposób zachowania zdrowia i majątku. Co znaczą nadzieje i życzenia szczęśliwszych czasów na przyszłość? — W naszéj najczęściéj mocy dobre sobie czasy utworzyć. Kto żyje nadzieją, często z głodu umiera. Jeśli nie masz ziemi i domu własnego, to masz ręce, a dobre rzemiosło stanie często za dobry folwarczek. Lecz trzeba pracować, — bo inaczéj ani rzemiosło, ani folwarczek podatku nie opłaci. — Bywa to, że głód i nędza zaglądają czasem do drzwi pracowitego człowieka, ale nigdy wejść do środka nie śmieją. Pracuj, kiedy próżniak śpi, a pewnie ci chleba nie zbraknie. — Pracuj zawsze dzisiaj, bo nie wiesz, co za przeszkody mogą jutro nastąpić: lepszy dzisiaj grosz niżeli jutro dwa. — Gdybyś służył u dobrego jakiego pana, nie byłożby ci wstydem, żeby cię nazwał próżniakiem? A czyż nie jesteś własnym swoim panem? Ale rzecze kto, czyż nie potrzeba czasem odpocząć? Ja na to odpowiem, co mawiał stary mój ojciec: jeśli chcesz na prawdziwy odpoczynek zasłużyć, używaj dobrze czasu, i nie trać godziny, bo nie jesteś minuty jednéj pewnym. — Czas odpoczynku jest to czas, którego można bardzo przyjemnie używać, ale pilny tylko człowiek może w nim słodycz znajdować. Odpoczynek, a próżniactwo są rzeczy wcale od siebie różne. Myli się, kto sądzi, że lenistwo więcéj ma od pracy przyjemności: próżniactwo nudę tylko sprawuje, za pracą idzie zawsze przyjemność i obfitość— pilnéj prządce nie zabraknie nigdy koszuli.

Trzeba także własnemi oczami dobra własnego doglądać, i nie nadto innym zaufać: przez posły wilk nie utyje. Brak pilności więcéj przynosi szkody, jak brak wiadomości. Zbytek ufności w drugich niemało ludzi zgubił, i nie w światowe to rzeczy wiara zbawia człowieka — jeżeli chcesz mieć sługę wiernego, najlepiéj służ sam sobie.

Ale dosyć już o tém, jakby to zyskać—pogadajmy teraz o tem, jakby to utrzymać. Wieceż że można całe życie pracować a nic nie mieć? Częstokroć jedna ręka rozprasza, kiedy druga zarabia; wystawność biorą za wygodę, a zbytek za potrzebę; to jednak prawda, że im kuchnia tłuściejsza, tém testament chudszy;—poprzestań

na mierności, a nie będziesz się żalił ani na złeczasy, ani na powinności ani na niedostatek domowy.— Mniéj często kosztuje dwoje dzieci, jak jeden nałóg wychować. Zdaje ci się podobno, że pozwolić sobie trochę w uczcie, trochę w sukni, trochę w rozrywce, nie może wiele uszkodzić, ale pamiątaj, że *trocha* i *trocha* to zrobi się nieznacznie *wiele*; jedna maleńka szczelina może wielki okręt zatopić.—Często kupujecie wiele bardzo fraszek, wcale wam niepotrzebnych i bezużytecznych. Jakże nie kupić, powiadacie, kiedy tak tanio? to jednak co nie jest potrzebnem, zawsze jest drogo kupione—pamiętajcie, że kto kupuje co mu jest zbytniem, będzie niedługo sprzedawał, co mu jest potrzebnem; dlatego pomyślcie zawsze dwa razy, nim macie z taniego kupna korzystać; wielu bardzo przyszło do nędzy, co wszystko tanio kupowali. Lepiéj raczéj ten grosz, który ci od nieuchronnych potrzeb zbywa, obrócić na kupienie użytecznéj książki, któraby twoję ciemnotę oświecić, rozum sprostować, a serce naprawić mogła, aniżeli trwonić na zbytek w ubiorze, który nietylko nie jest wygodą, ale często nawet przykrością. Tymczasem nie jeden gębie odbiera, aby sobie grzbiet ozłocił.

Temi to drogami ludzie przychodzą do czołgania się przed innymi. Czemuż sobie nie pozwolić kiedy na to wystarcza?— Młodzi i szaleńcy rozumieją zawsze, że 20 lat i 20 dukatów nigdy nie mają się skończyć— nikt nie zna ceny wody, aż kiedy się w studni przebierze; chcecie poznać wartość pieniędzy, idźcie ich tylko pożyczać. Ale wróćmy do swego: kupiłeś rzecz jaką piękną, trzeba zaraz drugiéj i dziesiątéj, żeby jedno odpowiadało drugiemu, i wszystko było dobrane. Czyż nie łatwiéj pierwszą chętkę pokonać, niż gdy się ich tyle połączy?— Podobne czyny niedługo czekają ukarania. Pospolicie duma zwykła śniadać z obfitością, obiadować z miernością, ale z hańbą wieczerzać.—Czy więc warto, żeby się dlatego zadłużać? Przyjdzie czas płacenia, trzeba będzie wykręcać się, kłamać i upodlać, bo jak mówi przysłowie, próżny worek nie może nigdy stać prosto; ale o tém wszystkiem nie myśli się, biorąc co na kredyt, bo też to prawda, że ci wierzyciele mają zawsze lepszą pamięć od dłużników, a nadto niezmiernie są zabobonni: nikt nad nich nie zachowuje i nie święci ściśléj każdéj kalendarza epoki.— U dłużnika poszalonemu czas leci; termin co z początku tak się długim wydawał, nie wiedzieć jak prędko przebiega.

Na tem skończył poczciwy Kijonka, i rozeszli się, bo też i godzina była już spóźniona. Chwalili wprawdzie wszyscy jego zdania, wspominali długo jego dobre rady, ale najczęściéj po czasie, bo mimo to żyli jak przedtém, jak to i bywa po wszystkich pięknych kazaniach.

Grzegórz Przylepka.

—

Przed dwoma jeszcze laty żył we wsi Gliszcu, o milę ztąd położonéj, Grzegorz, syn Macieja Przylepki, gospodarza rolnego z téjże wsi, któremu ojciec jednę tylko krowę z cielęciem wraz z trochę sprzętów gospodarskich i długiem kilkuset złotych, dworowi należnym, w spadku pozostawił.

Odziedziczywszy Grzegórz w takim stanie gospodarstwo, przemyśliwał długo, co z sobą począć, czy pójść do dworu podziękować panu za gospodarstwo, i oddać całą spuściznę na dług dworowi a resztę odłożyć, czy też zostać na gospodarstwie z zasobami tak nieodpowiedniemi, bo nie przyszło nawet przez myśl poczciwemu synowi (jakby to nie jeden dziś może zrobił), ażeby pokalać poczciwą pamięć ojca, nieuiszczeniem zaciągniętego przezeń długu.

W tym ciężkim swoim frasunku poszedł po radę do Franciszka, syna jednego z najstarszych gospodarzy wioski i zażyłego z nieboszczykiem. Franciszek wysłuchawszy o co rzecz idzie, tak począł:

—Nie jesteście już młokosem mój Grzegorzu! abyście nie umieli sobie radzić, ale skoro nie ufając własnemu rozumowi, chcecie mojéj rady zasięgnąć, toć jéj wam jako starszy i doświadczeńszy nie odmówię. Wiem, że się do pracy nie lenisz, a to grunt, bo przy pracy z najcięższéj wyjdziesz tarapaty, aby ci ino Pan Bóg zdrowia nie poskąpił.— Nieboszczyk Maciéj, Panie świeć nad jego duszą, poczciwy to był człowiek i dobry gospodarz, ale w ostatnich latach i na zdrowiu zaniemógł i niejednéj doświadczył biedy, i ztąd się tak dworowi zadłużył, a nie na żadne hultajstwo.— Pan mu pomocy swéj nie szczędził, aby go na nogi postawić, ale przy braku

zdrowia, wszystko mu opakiem szło. Wyście wówczas, Grzegorzu, pomagali w gospodarstwie teściowi Bartłomiejowi, który paraliżem dotknięty, byłby się zmarnował, gdyby nie wasza pomoc; toście nie mogli rozerwać się na dwoje. Tak tedy gospodarstwo Macieja upadło, a dług wzrastał, ale dług to święty, i gdybyście nie powzięli téj poczciwéj myśli przyjęcia tego długu na siebie, toby się was cała gromada wyparła, ale co się tycze tego, jak się masz nadal porządzić, to na mój głupi rozum tak mi się zda: Bartłomiéj, któremu już chłopak dorósł i może objąć gospodarstwo, bez waszéj pomocy się obejdzie i wymagać tego nie może, ażebyście dla niego porzucili swoję ojcowiznę.—Służba za parobka także mi się nie widzi, jak raz porzucisz gospodarstwo, już prędko do niego nie trafisz i przykro byłoby i tobie i nam, jakby się obcy przybysz usadowił w chacie, w któréj się twój ojciec urodził i umarł.—Moją więc jest radą pozostać przy gospodarstwie, jąć się pracy jak to mówią rękami i nogami, a pan widząc twoję zabiegłość i poczciwe chęci, pewno ci pofolguje w długu i pańszczyznie.—W służbie cóż poczniesz z kilkorgiem dziatek, które wam dał Pan Bóg?—ordynarya się przeje, kobiecie od drobnych dzieci trudno chodzić na zarobek; jak się więc raz bieda wkradnie, to jéj i kijem potem nie wypędzisz, i długu nie zapłacisz i sam się zmizerujesz, i niczego się nie dorobisz.— Oj oj! nie puszczaj tego kawałka ziemi, to matka nasza, abyś o niéj pamiętał, to ci podjęte trudy z lichwą zapłaci.

—Ale powiedzcie mi poczciwy Franciszku! jak się tu wziąć do gospodarstwa, chociażby i pan pofolgował, kiedy żywie Bogu nie ma się czego jąć, jedna zaledwie krowina z cielątkiem, ani czem pola obrobić, ani z czem pójść na zaciąg?

—Oto wiesz co? rzekł po chwili Franciszek, przyszła mi myśl taka:— ja mam dwoje koni, boć ta gniada klaczka już w trzecim roku i można jéj użyć do brony, a mój chłopak zna ją dobrze i krzywdy jéj nie zrobi— coraz też będzie starsza i do pracy zdatniejsza. —Dam ci więc starą w takich pieniądzach, jak oszacują sąsiedzi, i nie będę od ciebie wymagał gotowizny — tylko mi oddasz pierwszego źrebaka do roku odchowanego. Masz więc już konia. Co do wołów, ma tu Stefan parę nieuków, które wyprowadzić chce na jarmark; pójdę z tobą do niego, wiem, że on nie jest tak potrzebny grosza, to może cię w potrzebie poratuje.—I na tem jeszcze nie koniec, trzeba nam się udać i do pana, i wszystko przed nim wypowiedzieć jak przed ojcem, a pan dobry, to pofolguje ci w pańszczyznie i w odrobku, jak będzie widział twoję ochotę do pracy, i że się starownie bierzesz do chleba.

Z wdzięcznością wysłuchał Grzegórz życzliwéj rady Franciszka, wszystko poszło jak z płatka.—Stefan nietylko że się zgodził na odstąpienie wołów Grzegorzowi, ale nawet uścisnął serdecznie Franciszka, że mu nastręczył sposobność przyjścia w pomoc synowi zacnego Kmotra Macieja.—Dziedzic podobnież nietylko pochwalił ową dobrą myśl, ale nadto zapewnił ze swéj strony, że jak będzie widział dobre prowadzenie gospodarstwa, to daruje Grzegorzowi dług przez jego ojca zaciągnięty. Oprócz tego uwolnił go na całe półroku od robienia pańszczyzny.—Rozjaśniła się na to twarz Grzegorza dotąd smutkiem zasępiona, pokłonił się dziedzicowi do kolan, a do Pana Zastępów zasłał westchnienie pełne wdzięczności i uwielbienia za wszystko dobre, jakiego doznał do Niego się odnosząc.

Z nadzieją, jaka wstąpiła do serca, przybyło mu sił i chęci do pracy, powróciwszy do chałupy opowiedział całą rzecz żonie — wtedy oboje uklęknąwszy z pokorą przed obrazem cudownéj Matki Boskiéj Częstochowskiéj, podziękowali Jéj za wyraźną opatrzność; prosili o dalszą nad sobą opiekę téj pocieszycielki strapionych — i Bóg im odtąd widocznie błogosławił, bo też Grzegorzowie każdą pracę rozpoczynali modlitwą, każdy zamiar wprzódy Bogu zwierzali, i Jego świętéj wzywali opieki.

Grzegórz pracowity, zabiegły, trzeźwy, w ciągu niespełna lat dwóch wypłacił się Stefanowi i Franciszkowi, a że rola dobrze uprawna sowicie obradzała, nasz Grzegórz w lat kilka dorównał w zamożności najstarszym we wsi gospodarzom, pomimo, że nie żałował grosza ani na szkółkę, do któréj posyłał dzieci, ani na wsparcie ubogiego, ani na przyjście w pomoc któremu z sąsiadów w razie doznanéj klęski, pamiętając zawsze na doznaną pomoc, a tak zbierając grosz do grosza, to za zboże, to za wełnę z owiec, których miał 30, to za wieprza karmnego i t. p., zebrał był sumkę odpowiednią długowi przez ojca zaciągniętemu, i z tą przyszedł do pana, prosząc, ażeby ją przyjął. Ale dziedzic przy-

jąć jéj nie chciał, odwołując się do poprzedniego swego postanowienia, że skoro widzieć będzie dobre jego prowadzenie się, to zaciągnięty dług daruje, a że, mój Grzegorzu! dodał, w téj mierze na żaden zarzut nie zasługujesz, nie chciéjże więc, ażebym raz wyrzeczone słowo łamał.

Odmowa ta do żywego dotknęła Grzegorza, ze łzami więc w oczach ponowił swą prośbę, przydając, że dopóki pan należności nie odbierze, to on nie znajdzie spokojności, bo mu się zdaje, że jak się z długu ojcowskiego nie uiści, to dusza jego ojca także spoczynku nie znajdzie, że i tak do końca życia będzie wdzięcznym panu za pofolgowanie w oddaniu tego długu i w darowaniu robocizny; i wdzięczność tę dzieciom swym zaleci pod błogosławieństwem. Dziedzic wzruszony łzami poczciwego Grzegorza, przyjął od niego wreszcie pieniądze, lecz oświadczył, że do funduszu tego dołoży drugie tyle, i cały ten kapitał wynoszący razem złp. 1,750, czyli rsr. 262 kop. 50 daje na procent składany, za który po upływie lat 50 ma być wystawiony we wsi szpital dla chorych i przytułek dla starców i kalek pod wezwaniem Sgo Grzegorza, na jego pamiątkę, ponieważ go za istotnego założyciela przytułku uważa.

Grzegórz spłaciwszy w ten sposób dług dziedzicowi należny, przemyśliwał nad tem, jakimby sposobem wywdzięczyć się zacnym sąsiadom, bo drobne usługi, jakie im wyświadczał, uważał za zbyt małe wynagrodzenie, za szlachetną ich pomoc.—Wkrótce nastręczyła mu się do tego sposobność—Stefan po krótkiéj chorobie umarł, pozostawiając żonę z kilkorgiem drobnych dziatek.— Jak się tylko Grzegórz o nieszczęściu tem dowiedział, pospieszył zaraz do wdowy, ofiarując jéj swą pomoc. Ale pomocy tam niewielkiéj było potrzeba; gospodarstwo było zamożne, brakło tylko dobrego zarządu. Otóż Grzegórz gospodarstwem tém zajął się jak swojem własnem, i tak je prowadził, że ani wdowa, ani dzieci, różnicy w mieniu nie doznały, a nawet mienie to w ręku Grzegorza ciągle wzrastało, dopóki go wreszcie nie oddał najstarszemu synowi Stefana, za jego przyjściem do lat.

Jednemu tylko Franciszkowi niczem, jak mówił, nie mógł się wywdzięczyć, chociaż my o nim tego powiedzieć nie możemy—bo czyż to raz jeden dzieci jego pracowały w polu Franciszka, pomagając mu to w orce, to w sprzęcie, wyręczając złamanego wiekiem starca, — albo gdy Franciszek obłożnie zaniemógł, to Grzegórz najpilniejszéj pracy w polu zaniechał, aby pospieszyć po lekarza, i całe dnie i noce spędzał przy łóżku jego, dopóki zdrowie nie wróciło.

Stary Franciszek innem też na to patrzał okiem, i nieraz dzieciom i sąsiadom powtarzał, że to najszczęśliwsza była chwila w jego życiu, kiedy Grzegórz przyszedł do niego po radę. — Grzegórz tym sposobem wzrastał w szacunek ogólny, a gdy zmarł sołtys, gromada za przyzwoleniem pana jednogłośnie sołtysem go obwołała.—Odtąd Grzegórz we wszelkich sporach był rozjemcą i sędzią gromady, wyrokom jego chętnie się poddawano, bo były zawsze na sprawiedliwości oparte; on godził zwaśnionych, nieraz ze szkodą własnego grosza, a mimo to mienie jego wzrastało. Dzieci, których miał kilkoro, poszły śladem ojca, i równąż w gromadzie pozyskały miłość i szacunek.

Wreszcie Grzegórz doszedłszy sędziwego wieku, zmarł przed dwoma laty otoczony poważaniem pana i całéj gromady, pozostawiając innym wzór uczciwego życia i naukę, iż kto z Bogiem, to Bóg z nim, i że gdy brat w potrzebie, a ty możesz mu dopomódz, to nie odmawiaj mu ani serca, ani ręki, ani kieszeni, a Bóg ci to odpłaci, i pewno dzieciom twoim odda. Za trumną Grzegorza prócz dzieci i wnuków postępował dziedzic ze swą rodziną, a za nimi cała gromada pospieszała oddać ostatnią posługę chrześcijańską zacnemu starcowi, którego jak Patryarchę czciła i kochała. Proboszcz miejscowy w mowie nad mogiłą skreślił żywot poczciwego włościanina, stawiając go innym za przykład, a gdy następnie zaintonował *Requiescat in pace*, cała gromada przeciągłym płaczem na to odpowiedziała. Powszechna ta miłość i szacunek słodziły boleść pozostałéj rodziny, jaką im śmierć ukochanego ojca i dziadka sprawiła.

———

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 29 listopada (11 grudnia) 1856 r.—Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.